

# SŁU DZY WIEL KOŚCI

Janusz Gruchala, Uniwersytet Jagielloński, kontakt: [janusz.gruchala@uj.edu.pl](mailto:janusz.gruchala@uj.edu.pl), ORCID ID: 0000-0002-3938-9303;  
Wojciech Kruszewski, Katolicki Uniwersytet Lubelski, kontakt: [wojciech.kruszewski@kul.pl](mailto:wojciech.kruszewski@kul.pl),  
ORCID ID: 0000-0003-1314-4620; Dariusz Pachocki, Katolicki Uniwersytet Lubelski, kontakt: [dariuszp@kul.pl](mailto:dariuszp@kul.pl),  
ORCID ID: 0000-0002-1498-3648

## „Pracy edytorskiej nie da się zrobić, siedząc w kawiarni”

Rozmowa Wojciecha Kruszewskiego  
i Dariusza Pachockiego z Januszem Gruchalą\*

*Rozmowa odbyła się w Pracowni Oficyny Poetów i Malarzy w Krakowie  
(częściowo online).*

### Wojciech Kruszewski

Jak to się stało, że wpadłeś na edytorstwo?

### Janusz Gruchala

Nie wpadałem na edytorstwo sam. Zostałem wciągnięty przez profesora Stanisława Grzeszczuka, u którego pisałem magisterium, a potem doktorat. Gdy zatrudnił mnie jako asystenta, robiliśmy razem wydania tekstów staropolskich. Pierwsza była poezja ziemiańska, antologia wyszła w PIW-ie, w serii „Biblioteka Poezji i Prozy”. Jak na to dzisiaj patrzę, to były to edycje popularnonaukowe, choć już wtedy mnie profesor skłaniał, żeby oglądać przekazy, bo niektóre rzeczy wydawaliśmy albo po raz pierwszy, albo po edycjach dziewiętnastowiecznych, dla których nikt nie zrobił porządnej kwerendy. Mieliśmy też grant na wydanie *Moralistów* Potockiego i ja się w nim zajmowałem między innymi kwerendami, oglądałem rękopisy. To wciąga, jak wiecie. Oglądałem przekazy Potockiego, wziąłem do ręki autograf w Bibliotece Narodowej. No i wpadłem.

\*Transkrypcja: Kinga Rudzka.

## Dariusz Pachocki

I tak to trwa od wielu lat...

## Janusz Gruchała

Pierwsze moje edycje były, jak mówiłem, popularnonaukowe. Nie wydawaliśmy tekstów naukowo, raczej je udostępnialiśmy, co, rzecz jasna, też jest bardzo ważne. Miałem z tym oczywiście dużo przyjemności, ale potem próbowałem bardziej naukowych edycji. Ale potwierdzam: początki były takie, że od razu zostałem zaprzęgnięty do wydawania tekstów dawnych.

## Dariusz Pachocki

Wciąż jest wiele do zrobienia. Wydaje się, że materia jest nie do ogarnięcia. Z drugiej strony pojawiają się głosy, że edytorstwo tradycyjne jest w kryzysie, że jest kulawe. Jak oceniasz kondycję współczesnego edytorstwa?

## Janusz Gruchała

Nie twierdzą, że widzę całe edytorstwo współczesne. Kryzys polega chyba na tym, że mało jest ludzi, którzy to umieją robić. Także ci, którzy zarzucają edytorstwu współczesnemu zapaść, nie umieliby, jak często podejrzewam, zrobić porządnej edycji, takiej właśnie naukowej edycji tradycyjnej. Mają więc takie wyjście, że mogą powiedzieć: „jest w kryzysie”; wiem, że być może to krzywdząca ocena. Sądzę, że kryzys polega na tym, że ludzie się nie garną do takich prac, bo są one długotrwałe, mało efektywne i niepunktowane. Zabija to także ambicje młodych ludzi. Dodajmy, że są oni do bólu pragmatyczni, liczą sobie te punkciki i widzą, że prace edytorskie wymagają zbyt dużo energii w przeliczeniu na jeden punkcik. Po prostu się nie opłaca. Warto na przykład sięść, w dwa tygodnie napisać artykuł, sto dwudziesty ósmy artykuł o milczeniu u Czesława Miłosza, to jest lepiej premiiowane niż edycja naukowa. Bo w tym celu trzeba albo gdzieś pojechać, albo zdobyć sobie skany, albo jedno i drugie. Poza tym trzeba trochę umieć. To znaczy, trzeba umieć czytać, umieć znajdować materiał do komentarza. Ale, szczerze mówiąc, ja nie widzę objawów wielkiego kryzysu. Ukazują się serie, które, jeżeli chodzi o stare piśmiennictwo, udostępniły w ostatnim ćwierćwieczu bardzo wielu autorów, których nie znaliśmy, w dobrych edycjach. Serie Adama Karpińskiego, „Biblioteka Pisarzy Staropolskich” i Tomasza Chachulskiego „Biblioteka Pisarzy Polskiego Oświecenia” są naprawdę poważnymi osiągnięciami. Natomiast zarzuty, o których mówicie... Każdy przeczytał znany artykuł Pawła Bema, prawda?<sup>1</sup> Oczywiście gdy ten młody badacz wchodził na rynek publikacyjny, to musiał czymś zaimponować. Zaimponował tytułem i rzucaniem oskarżeń czy sądów na temat owego kryzysu. Przy czym w tych polemikach, które się odbywają, w definicjach kryzysu jest dużo nieporozumień. Na przykład Paweł Bem głównym swoim zarzutem uczynił idee edycji definitywnej albo szukania woli autora. Od tego już przecież wszyscy dawno odeszli. On nie przeczytał, że już dawno się nie pisze o woli autorskiej jako ostatecznym argumentem. Nie przeczytał, że edycję tego rodzaju (*editio definitiva*) już dawno odesłano w przeszłość jako marzenie; po prostu chciał zaatakować. Dziś też widać takie zaczepki. Ponieważ mam zły charakter, sądzę, że są one często powodowa-

<sup>1</sup>Chodzi o artykuł *Dlaczego polskie edytorstwo naukowe nie istnieje*, „Teksty Drugie” 2016, nr 1, s. 151–168.

ne tym, że ich autorzy nie spróbowali wydać naukowo jakiegoś tekstu. Przypomnę, że atak Bema nastąpił w momencie, kiedy on nie miał jeszcze żadnej edycji na swoim koncie. I do dzisiaj nie widzę oszałamiających wyników edytorskich. To jest ciągle zapowiedź, że coś tam się urodzi. Ale efektów nie widać. W tym środowisku, w którym jest Paweł Bem, dotychczas nie powstało zbyt wiele wydań naukowych. Może ja ich nie zauważam, może jestem też złośliwy i źle nastawiony... Podsumowując: sądzę, że ten kryzys, o którym mowa, polega na tym, że coraz mniej młodych ludzi się garnie do edytorstwa naukowego. Być może będziemy mówić o poważniejszych trudnościach w przyszłości. Za parę lat być może nie będzie nikogo, kto będzie mógł zrobić porządną edycję staropolskiego tekstu. Lepiej jest chyba z wydawaniem tekstów nowszych, bo tutaj, ze zrozumiałych względów, potrzebne są innego rodzaju kwalifikacje.

### Dariusz Pachocki

Wracając na chwilę do Pawła Bema. Oprócz zarzutów sugeruje on też pewne rozwiązania. Twierdzi, że tradycyjne edytorstwo zafałszowuje historię literatury, a receptą miałyby być edycja cyfrowa. Czy zgadzasz się z tym stanowiskiem?

### Janusz Gruchała

To jest materiał na bardzo długą dyskusję. Pamiętam taką konferencję, nie wiem, czy byliście na niej. Muzeum Literatury kiedyś urządziło konferencję, na której waszego mistrza zrugła jakaś pani, nieznana mi z nazwiska, która mu właśnie tak powiedziała: „Ależ panie profesorze, przecież są komputery! Tu się wszystko zmieniło”. Otóż komputer to jest narzędzie. Rozumiem, że to była osoba, która nie wiedziała albo słabo wiedziała, co mówi, była zafascynowana techniką. To tak jak dzisiaj się słyszy, że świat cały się zmienił, bo jest Facebook albo Instagram, albo Twitter. No zmienił się, ale nie na poziomie nauki, tylko na poziomie komunikacji. I teraz, jeżeli się ktoś zafascynował samą możliwością edycji cyfrowej... Ja też jestem za tym, żeby używać nowych technologii. Tylko używać nie tyle możliwości prostych edytorów, ile programów bazodanowych, które mogą służyć edycji. Przyznam: gdy czytam czasem wnioski grantowe, że będzie cyfrowa edycja, a potem się okazuje, że to będzie PDF umieszczony w jakimś repozytorium, wtedy sobie myślę, że bardzo wielu zwolenników edycji cyfrowych czy takich, którzy wyrażają to, że komputery zmieniły wszystko, myśli o PDF-ach. Przecież to nie jest żadna edycja cyfrowa, dajmy spokój. Prawdziwej edycji cyfrowej, tak szczerze mówiąc, nie widziałem. Oczywiście *Atelier Flaubert*...<sup>2</sup> Jest takie archiwum cyfrowe zrobione dużym kosztem we Francji, przez wielki zespół, z pieniędzy, o ile wiem, publicznych. *Atelier Flaubert* pokazuje możliwości edycji cyfrowej, tylko że to jest edycja, w której nie chodzi o ustalenie tekstu do czytania. Im chodzi o *avant*-teksty. I ja to bardzo cenię. Wchodzę tam, zwłaszcza dlatego, że lubię, jak ktoś nie daje angielskiego tłumaczenia, a Francuzi nie dają i bardzo mi to odpowiada (*śmiech*). Ale wracając do rzeczy. Otóż takich edycji, naprawdę wykorzystujących narzędzia cyfrowe, nie widzę.

Prawdziwej  
edycji cyfrowej,  
tak szczerze mówiąc,  
nie widziałem

<sup>2</sup> Zob. <https://flaubert-v1.univ-rouen.fr/>.

## Wojciech Kruszewski

Paradoksalnie edycja cyfrowa wcale nie jest łatwiejsza. To jest tak naprawdę narzędzie badawcze, ale zrobić takie narzędzie to jest sztuka. Ale *à propos* wspomnianych przez Ciebie przed-tekstów... Profesor Marek Troszyński powiedział wprost (usłyszałem to na jednym ze spotkań naukowych): „Mnie koncepcja dzieła nie jest do niczego potrzebna”. Może jest też tak, że stało się coś w humanistyce. To znaczy, że jest po prostu kryzys idei dzieła.

## Janusz Gruchała

Jeżeli uznamy to bez dyskusji, to właściwie darujemy sobie dawną literaturę, bo tam nie ma zbyt wiele rękopiśmiennych przekazów, a na pewno śladowe są autografy. Ja w tym widzę coś, co jest cechą humanistyki dzisiejszej – ucieczka od przeszłości, od historii, bardzo głębokie pęknięcie. W Ameryce to przybiera postać *cancel culture* i oczywiście to jest niebezpieczna zabawa, która polega na tym, że się wycofuje z amerykańskich szkół lektury, które przez wieki formowały młodzież amerykańską, dlatego że tam się mówi o Murzynach, a to podobno niepoprawne politycznie. A w dodatku zaczyna się też, w ramach akcji bezpośredniej, obalać pomniki i to jest symboliczne wyrzeczenie się przeszłości. Otóż jeżeli mówić o czymś takim jak kryzys pojęcia dzieła, to ja widzę w tym odmianę europejską, może też polską, tej *cancel culture*, choć mam nadzieję, że to raczej sprawa mojego punktu widzenia, a nie rzeczywistość... Powiedzmy – nie ma dzieła. Otóż jeżeli tak, wracam do myśli, to naszą polską odmianą *cancel culture* jest mówienie, że w ogóle nie ma powodu, by odwoływać się do literatury dawnej. Nie wiem, czy zwróciliście uwagę, że minął już czas kłócenia się o lektury w szkołach. Teraz już większość salonu uznaje, że nie warto dzieci męczyć czytaniem na przykład *W pustyni i w puszczy*. Jest tam ten biedny, ale sympatyczny Murzyn. Powstaje pokusa: powiedzmy, że to jest imperialistyczne czy kolonizatorskie dzieło, i wykreślmy je. Jeżeli się więc przestało mówić o zestawie lektur, to znaczy, że się uznaje ten temat za przedmiot niegodny dyskusji. Teraz będziemy rozmawiać, no nie wiem, o Oldze Tokarczuk na przykład; wielki autorytet we wszystkich sprawach. Według mnie elementem tego braku dyskusji nad przeszłością jest także takie pogardliwe mówienie o dziele. Rozumiem, że to jest element statusu współczesnej humanistyki. Być może jestem zbyt radykalny, ale podstawą tego radykalizmu jest przekonanie, że właściwie ktoś, kto mówi, żeby koncepcję dzieła literackiego odrzucić, odrzuca wielowiekową tradycję. To nie jest tak, że przez wieki ludzie się karmili jakimiś złudami, bo nie istnieje dzieło, ale oni myśleli, że istnieje. Co więcej, te dzieła oddziaływały na życie społeczne, utrzymywały naród, kiedy nie było państwa, więc negowanie tego w odniesieniu do dawnych epok jest albo naiwnością, albo, jako zły człowiek mogę to też zakładać, celowym działaniem, żeby pozbawić ludzi, Polaków (mówimy o konkretnej literaturze, w konkretnym języku), pozbawić ich korzeni. Myślę, że to trzeba powiedzieć – polska literatura nie ma wydań wielu autorów. I w związku z tym mówienie teraz, że nie warto, bo trzeba szukać jakichś nowych dróg, jest jakby zamykaniem drogi, która pozwoliłaby być może wypełnić tę lukę. Dotyczy to niekiedy całego dorobku autorów może nie najważniejszych, ale bardzo interesujących. Podam przykład. Jest pewien poeta zwany Anonimem Protestantem. On może nie dorównuje Kochanowskiemu, ale przecież oprócz Kochanowskiego mieliśmy jakichś twórców. Otóż Anonim Protestant, po pierwsze, jest anonimowy, więc znowu go nie można gdzieś konkretnie umieścić,

**Polska literatura  
nie ma wydań  
wielu autorów**

a po drugie, niewydany. A powstały już liczne dzieła na temat autorstwa tego zbioru. Mówienie o tym, że nie warto wydawać dzieł, w naszej sytuacji jest groźne, bo być może skazujemy na dalszy niebyt tych, którzy powinni być na półce. Nie ma ich, ale teraz w zamian za to mają się pojawić (ale to jest inny temat rozmowy) tak zwane edycje genetyczne. Nawiązuję do tego, o czym mówił Wojtek: Marek Troszyński zamierza wydać dzieła wszystkie Słowackiego. Bardzo mi się podoba jego edycja *Samuela Zborowskiego*. Tak, to inspirujące i świetnie się ogląda. Tylko czy w ten sposób można wydać całego Słowackiego? Dla kogo?

### Wojciech Kruszewski

Trudno powiedzieć, że to jest edycja. Ta książka nawet nosi tytuł *Alchemia rękopisu*. To nie jest *Samuel Zborowski*, ale studium o rękopisach Słowackiego.

### Janusz Gruchała

Studia genetyczne prowadzą do bardzo dobrze czytających się tekstów. Studia, eseje powstają dzięki temu, że ci badacze – chwała im za to – siedzą w archiwach, dotykają przekazów. To jest bardzo cenne, bo mieliśmy taki okres, kiedy pisało się tylko na podstawie cytatów u Hernasa albo jakichś edycji, które były słabe. Teraz główny wysiłek kieruje się ku autografom, i to doceniam; ale czy można się do tego ograniczać? Wygłosiłem kiedyś referat na konferencji, ale nie trafił on do druku, ponieważ chciałem powiedzieć, że oprócz rękopisu są jeszcze stare druki, które dostarczają również bardzo ciekawego materiału dla badań genezy tekstów. To nie jest tak, że wszystkie egzemplarze dawnej edycji drukowanej są takie same. Warto śledzić warianty. Ale wielu sądzi, że jak nie ma autografu, to nie ma co badać. Na szczęście, i tu widać ruch w dobrym kierunku: na naszym Wydziale działa Pracownia Badań nad Procesem Twórczym kierowana przez Mateusza Antoniuka. Obserwuję to z zainteresowaniem, bo zdaje mi się, że powstaje szansa na wyjście z wąskiej ortodoksji genetycznej, możliwa jest rozmowa o epokach dawnych, w których o autografach słyszy się tylko w wyjątkowych wypadkach. Pozwólcie, że zamiast podsumowania powtórzę wypowiedzianą już myśl – ze studiów w archiwach powstają niezwykle cenne publikacje: artykuły, opracowania. Ale żeby z tego powstawały edycje? Nie sądzę.

### Dariusz Pachocki

Od jakiegoś czasu obserwujemy dość niepokojące zjawisko przeobrażania się uniwersytetów w przedsiębiorstwa; chodzi mi o sposób działania. Czy to jest odwracalne i czy edytorstwo na tym ucierpi?

### Janusz Gruchała

Uniwersytety stają się korporacjami, rządzoneymi dość restrykcyjnie, właściwie odchodzącymi od wolności badania naukowego, a może też i myślenia. Na przykład punkty to sposób kontroli nad tłumem badaczy. Kto to kontroluje? Funkcjonariusze w postaci prodziekanów, prorektorów i urzędniczek z odpowiednich działów administracji uczelnianej. I skoro opracowano technologię tego kontrolowania, a opracowano (wszystkie te punkty, ewaluacje i tak dalej), to większość uczonych, niestety, podkuliła ogon i ulega opresji. Ten mechanizm zabija oczywiście prace edytorskie, bo one są słabo punktowane. Tak na marginesie: pewnie wiecie, dlaczego kiedyś one nie były

Uniwersytety  
stają się  
korporacjami,  
rządzonymi  
dość restrykcyjnie

## Słudzy wielkości. Rozmowy o edytorstwie

punktowane w ogóle? Dlatego że gdy się to szaleństwo zaczynało, w różnych gremiach królowali historycy, między innymi (jak mi mówiono) profesor Janusz Tazbir, bardzo zasłużony badacz przeszłości. On twardo obstawał przy tym, że nie warto dawać punktów za edycje. I w pewnym sensie miał rację. Jeżeli historycy młodego, świeżo wypieczonego doktora wysyłają do Rzymu na Stypendium Lanckorońskich i każą mu tam badać akta nuncjatur papieskich w Polsce, to on siedzi i ma zrobić pół metra albo piętnaście centymetrów akt i robi transliterację. Wraca po pół roku, przywozi edycję i oni ją drukują. Właściwie bez aparatu, bo to jest wydanie źródła. Więc źródłoznawcy nie uznają takich prac za naukowe. To jest wprawka dla młodego historyka. Jeżeli tak, to profesor Tazbir własną pierś bronił tego, żeby nie dawać habilitacji za edycję. Dzisiaj to się stopniowo odwraca, punkty można zdobyć za edycję, ale to też jest tak, jak już mówiłem: zdobycie jednego punktu wymaga znacznego wysiłku, co jest średnio opłacalne. Ja sam przeżyłem takie coś. Moja pani doktor napisała ciekawy doktorat. Powiedziałem jej, że teraz trzeba go opublikować w postaci książki, dziekan da na to pieniądze. A ona mi mówi: „Panie profesorze, ja zrobię z tego dwa artykuły, będę miała więcej punktów”. To jest lekceważenie pewnej tradycji, coś, co zabija uniwersytet. Wydaje mi się, że wchodzi on w straszliwą pułapkę, która polega na punktozocie. Przyklepano to w tej tak zwanej Konstytucji dla Nauki. Teraz wszyscy się budzą i mówią, że to bardzo źle wpłynęło na uniwersytet w ciągu tych dwóch czy trzech lat. Chciałbym być złym prorokiem, ale twierdzę, że to zabija uniwersytety, jeśli nie zrobimy natychmiast jakiegoś buntu i nie wyrzucimy tej całej punktozy do kosza.

### Dariusz Pachocki

Na naszych oczach zaciera się idea uniwersytetu w ogóle.

### Janusz Gruchała

Tak.

### Wojciech Kruszewski

Jeżeli można, to takie pytanie, które byłoby chyba rozwinięciem tego, co mówisz. Jakoś tak się stało, że tak naprawdę większość prac edytorskich, które powstają, jest elementem jakichś projektów badawczych, które są finansowane ze środków pozauniwersyteckich, krótko mówiąc, z grantów. Pamiętam taką rozmowę, kiedy mówiłeś, że może to nie jest najlepszy pomysł, może czas pomyśleć o jakimś narodowym programie wydawniczym.

### Janusz Gruchała

Podtrzymywałbym to. Tylko po moich doświadczeniach w ciebie, które przyznaje owe granty, widzę niemożność zrobienia tego. Trzeba by skłonić odpowiednie gremia do zastanowienia się nad tym, co jest konieczne do wydania, jakie dzieła polskiej literatury wymagają edycji naukowej, aby potem na jej podstawie można było robić edycje popularnonaukowe i popularne. Co by było potrzebne? Potrzebny byłby decydent, który powie: „Tak, ja przeznaczę na to pewną kwotę co roku”. NPRH jest wieloletnim programem i rzeczywiście stał się od pięciu chyba lat, sześciu może, przedsięwzięciem, które jest nastawione na prace edytorskie. Sprawa ma się podobnie jak z istniejącymi

niegdyś tak zwanymi projektami zamawianymi. Były one często wynikiem układów towarzysko-interesowych, ale były. Jest jeszcze dużo takich dzieł polskiej literatury, które są źle wydane albo w ogóle niewydane. Wyobrażam sobie, że powołujemy, nie wiem jak to nazwać, powiedzmy: kolegium mędrców. W tych zespołach, które by pracowały nad edycjami, mogliby być ludzie, którzy nie są zatrudnieni na uczelniach, bo przecież ilu jest teraz doktorów, którzy pracują w jakichś dziwnych instytucjach albo w ogóle nie pracują? Mogliby z tego żyć. Ja wiem, że to jest życie na parę lat, ale oni są już chyba przyzwyczajeni, że nie mają stałego etatu. Zresztą można tak pracować przez kilkanaście, kilkadziesiąt lat, to nie jest najgorsze, co się może człowiekowi zdarzyć w życiu. Kłopot polega jednak na tym, że o takim kolegium mędrców chyba można sobie tylko pomarzyć, skoro – w moim przekonaniu – podstawową bolączką naszego środowiska jest słabość krytyki. Wiele recenzji było i chyba jeszcze nadal jest opiniami uprzejmościowymi. Ludzie się boją roli recenzenta, bo mogą kogoś urazić. Nie wiem, ile widzieliście negatywnych recenzji, ja widziałem bardzo mało i wiem, czym się kończy napisanie takowej, wiem dokładnie. Kogo więc powołać do takiego komitetu decydującego o programie edytorskim? Po pierwsze, musieliby być to ludzie, którzy sami nie są zainteresowani otrzymywaniem pieniędzy na edycję. Takich trudno znaleźć. To jest pewnego rodzaju koło zamknięte. Natomiast na szczęście zawsze, myślę, znajdować się będą tacy idealisci, którzy się dadzą namówić na wykonanie edycji.

Wiele recenzji  
było i chyba jeszcze  
nadal jest  
opiniami  
uprzejmościowymi

### Dariusz Pachocki

Pozwól, że nawiążę do jednej z naszych rozmów sprzed lat. Pewnego edytora dzieł dawnych zapytano, dlaczego wydaje utwory, których nikt nie czyta, a on odpowiedział: „Bo są”. Czy coś się w tej materii zmieniło?

### Janusz Gruchała

No tak. To jest przytoczenie opinii, nie pamiętam nazwiska, któregoś z himalaistów. Tak odpowiedział na pytanie: „Po co wy tam włączacie w te góry?”. To jest tak właśnie. Jeżeli ktoś wydaje autora, którego przywraca swoją edycją do obiegu, to nie będzie to obieg powszechny. Ten autor nie wygra z Olgą Tokarczuk. Naprawdę nie wygra, nie o to chodzi przecież. Trzeba wydać autorów, którzy jakoś tam wpływali na publiczność, może niekoniecznie szeroką, bo kiedyś przecież dziesięć procent ludzi umiało czytać. Duchowni w kościołach, panowie w dworach, panie, które zakładały ochronki dla dzieci. Pyta ktoś: „Po co wydawać autorów, których nikt nie czyta?”. Odpowiadam: a po co wydawać rozprawy naukowe, których nikt nie czyta, może poza recenzentami? Zlikwidujemy wobec tego całą dziedzinę książek naukowych. One się nie opłacają, muszą być dotowane. Ale przecież tak właśnie jest też z edycjami. Nawet gdy ukazuje się Mickiewicz, nie jest tak, że ludzie go wykupią, musi być dotacja. Jest pytanie, czy ta dotacja musi być tak hojna jak jest na przykład na wydanie Kochanowskiego. Ale niechby było nawet trochę obficiej niż na zwykłe granty. Tylko nie można negocjować potrzeby edycji, bo w ten sposób możemy zanegować sens uprawiania w ogóle historii i historii literatury. Ja myślę o dawnych wiekach, ale też i o literaturze dwudziestowiecznej. Ona już dojrzała, w niektórych przynajmniej fragmentach, do wydań naukowych, takich, które nie liczą na wielką publiczność. Czy Kazimierz Wierzyński, skoro go teraz wydano, jest teraz bestsellerem i szukają go wszyscy w księgarniach? Albo jak się wyda, nie wiem, Tyrmanda, to wszyscy się rzucą do księgarń? Nie.

Nie dostał Nobla, to nie. Ale przecież nie na tym polega rzecz, żeby zarabiać na przeszłości. Przeszłość trzeba po prostu uprawiać. To jest kultura. Kultura pochodzi od *colo, colere...*

### Wojciech Kruszewski

Jak tylko się zaczęła wojna na Ukrainie, to taka intuicja, olśniony trochę przez jedną z doktorantek... Znaczna część polskiej spuścizny literackiej jest w archiwach wileńskich, lwowskich, w Kijowie też. Czy tu nie należałoby czegoś zrobić? W przypadku Ukrainy jest trochę późno, ale czy na przykład na Litwie czy w innych krajach można coś jeszcze zrobić?

### Janusz Gruchała

Po pierwsze, to, o czym wiemy, że jest na przykład w Ossolineum, czyli w dzisiejszej bibliotece Stefanyka, należało już dawno zdigitalizować. Litwini, jak wiadomo, nie zawsze chętnie digitalizują to, co dla nich jest polską spuścizną. W Rosji, jestem przekonany, jest wiele rzeczy, które czekają na odkrycie, i jeszcze możemy się, jeżeli Pan Bóg da, spotkać z niezwyklejmi ujawnieniami rzeczy, które tam istnieją. Przecież nie wszystko wróciło do Polski po pierwszej wojnie na podstawie traktatu ryskiego, daleko nie wszystko. Więc tak, mówimy o digitalizacji, o ratowaniu, że tak powiem, zachowawczym. Pytanie, czy to jest praca naukowa. To jest, powiedziałbym, zadanie statutowe archiwistów i bibliotekarzy, nie badaczy uniwersyteckich. Ciągłe są jakieś projekty, które polegają na tym, że się digitalizuje albo opracowuje wstępnie te materiały, które są za granicami Polski.

### Wojciech Kruszewski

Gdy się przygotowuje edycję, o której my teraz często rozmawiamy, jednym z najważniejszych problemów jest zawsze takie, a nie inne opracowanie od strony językowej. To jest wielki problem. Czy masz jakiś swój przepis na to, jak stawiać tę granicę, co z językiem źródła można zrobić w takiej edycji, a czego nie można? Jak byś zalecał modernizować?

### Janusz Gruchała

Zanim powiem o tym, jak modernizować język polski, to powiem, że naszym drugim językiem narodowym była łacina. Nie wiem, czy wiecie, ale Kochanowski nie ma krytycznego wydania dzieł łacińskich. Otóż, po pierwsze, dzieła łacińskie trzeba wydawać. Przecież mamy autorów, którzy wywierali wielki wpływ nie tylko u nas. Mamy Sarbiewskiego na przykład, który był znany w całej Europie. Najbardziej znany polski poeta pierwszej połowy siedemnastego wieku pisał po łacinie. Mamy jego edycje, ale popularnonaukowe i właściwie głównie w przekładach. Mało jest takich, w których można znaleźć także tekst łaciński. Mieliśmy dzieła po łacinie, mieliśmy też (wydaje mi się, że to jest część naszego dorobku) w języku ruskim. To też warto by może objąć uwagą, choć tu są oczywiście problemy polityczne. Pytasz o polszczyznę, jak postępować. Jeżeli chodzi o wydawanie dzieł polskich, to myślę, że musi istnieć coś takiego jak transkrypcja, czyli modernizacja pisowni. Im bliżej nas, tym ta modernizacja jest mniej potrzebna, ale jak modernizować? No i tutaj ja mogę dyskutować tygodniami. To jest morze (*śmiech*). Niewątpliwie istnieje w tej sprawie wiele koncepcji, pewien



Według mnie  
to jest morderstwo  
na tekście  
i na autorze

wybitny edytor z Gdańska używa zawsze takiego ostatecznego argumentu: „Przecież oni pisali dla ludzi, którzy już teraz nie żyją”. Kochanowski pisał dla odbiorców, którzy już nie żyją, oni już zmarli. Dla mnie to jest argument trochę demagogiczny, bo z drugiej strony ci, którzy teraz żyją, można by powiedzieć, wcale nie potrzebują takiego Kochanowskiego. Może jego by jeszcze potrzebowali, wierzę w to, że tam jest pewna mądrość, ale nie wiem, czy potrzebują wielu pisarzy staropolskich, osiemnastowiecznych czy nawet dziewiętnastowiecznych. Wobec tego jak im udostępniać te teksty? Modernizować? Wydaje mi się, że wielu rzeczy, które my chcemy współczesnić na siłę, modernizować nie trzeba. Każdy czytelnik polski, średnio inteligentny, jakoś tam wykształcony, powiedzmy, po maturze, potrafi zrozumieć archaizmy typu „zawždy”, „jeno”. One są zrozumiałe. Nie trzeba ich modernizować i mówić „zawždy to znaczy zawsze”. Wystarczy może komentować. To znaczy napisać: „kobieta była prawie cnotliwa” i dodać w przypisie: „prawie, to znaczy prawdziwie”. Jeżeli gdzieś na przykład są końcówki typu „-emi” zamiast „-ymi”, „-imi”, na przykład „zielonemi listeczkami” – czy to modernizować? Czy to przeszkadza komukolwiek w zrozumieniu tekstu? Nikomu. Ale ta modernizacja na siłę obejmuje także takie rzeczy, które są zrozumiałe, ale dają pewną aurę dawnej polszczyzny. A niechby ona była! Dlaczego nie? Najtrudniej jest oczywiście rozmawiać, ale to jest zupełnie inny problem, o modernizacji interpunkcji. To jest inna zupełnie historia, ale jeżeli chodzi o współczesnienie pisowni, byłbym za tym, żeby nie modernizować do końca, żeby pozostawiać pewne rzeczy. Rozumiem, że jest trudność z archaizmami, że na poziomie leksyki to może być trudne. Ale też trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś zastępował archaizmy typu „jakmiarz”. Tego już nie ma, nikt nie wie, co to znaczy, ale co: zastąpić to jakimś współczesnym wyrazem? Według mnie to jest morderstwo na tekście i na autorze. Byłbym przeciwny współczesnianiu na siłę i modernizowaniu stuprocentowemu.

### Dariusz Pachocki

Wydawałeś Skargę, kwestia interpunkcji jest w tym przypadku naprawdę istotna, czy da się przekonać współczesne redaktorki do metody, którą preferujesz?

### Janusz Gruchała

Redaktorki się da, to można zawsze... Opowiem wam coś o moich pierwszych doświadczeniach edytorskich. W poezji ziemiańskiej występowało parę razy słowo „bo by”: ktoś tam czegoś nie zrobił, bo by był nieszczęśliwy. Wiadomo, że cząstka „by” w dawnym języku jest bardziej ruchoma niż dzisiaj. Otóż „boby” według współczesnych słowników pisze się łącznie. I ja pamiętam, jak byliśmy z profesorem Grzeszczukiem w PIW-ie, gdzie wydawano antologię poezji ziemiańskiej. Dano to młodej redaktorce do adiustacji i ona te „bo by” podkreślała, bo myśmy pisali je oddzielnie. Dyskusja na ten temat trwała prawie godzinę. Redaktorka była młoda i przekonana, że pisowni łącznej i rozdzielnej musi dopilnować. I profesor potem bohatercko powiedział: „Proszę pani, to proszę to złożyć na moje sumienie. Mogę nawet pani dać to na piśmie”. Otóż takich problemów jest dużo, jeśli chodzi o interpunkcję i przecinki. Nie wiem, czy zwróciliście uwagę, parę lat temu w Białym Kuku ukazały się *Kazania sejmowe* księdza Piotra Skargi, które, tu uwaga, pewien uczonec ze Szczecina przełożył na język polski. Wstęp napisał obecny nasz ambasador przy ONZ-ecie, profesor Szczerski,

który stwierdził, że to wydanie może służyć posłom na Sejm, żeby się uczyli odpowiedzialności za Ojczyznę. A ponieważ oni mogliby nie zrozumieć Skargi, trzeba było tego autora tłumaczyć na język polski... Tak nisko cenić posłów!? Przecież studenci, a nawet maturzyści mają przeczytać dwa kazania sejmowe Skargi i na ogół dobrze je rozumieją! Na czym głównie polegała owa modernizacja nazwana przekładem? Tam, gdzie Skarga buduje długie okresy, gdzie kropka następuje po kilku zdaniach podrzędnie złożonych, wtrąconych (to jest cały urok kazań Skargi, bo on jest cyceronianista), tam zrobiono z tego sieczkę, to znaczy postawiono kropki, gdzie się tylko dało. Z jednego zdania zrobiono cztery. I to jest dla wykształconych inaczej, którzy siedzą w Sejmie. To jest naprawdę przykład kliniczny, do czego może prowadzić negowanie: „Aaa, no po co nam ta stara interpunkcja?”. W kazaniach, zwłaszcza u księdza Skargi, ale także u innych poważnych kaznodziejów... Na przykład u Grzegorza z Żarnowca, który jest znakomitym mówcą, posiekać te zdania kropkami i sprowadzić nowoczesną, składniowo-logiczną interpunkcję niemiecką, to jest morderstwo po prostu. Ja się tu zderzam z różnymi edytorami, którzy każą modernizować interpunkcję, i zgadzam się z Antonim Czyżem. To, co on napisał o dawnym przestankowaniu, bardzo mnie przekonuje. Nie wolno rezygnować z tego skarbu, którym jest interpunkcja retoryczno-intonacyjna, bo inaczej zgubimy ducha dawnej wymowy. Podsumuję odpowiedź na wasze pytanie: uważam, że umiarkowana transkrypcja jest potrzebna (przy czym szczególnym wypadkiem jest interpunkcja w tekstach oratorskich). Modernizacja winna być przeprowadzona z umiarem, bez takiego demagogicznego mówienia, że przystosowujemy tekst dla współczesnego czytelnika. Jeśli on jest trochę inteligentny, to zrozumie także i to, co nie zostało modernizowane.

### Wojciech Kruszewski

Chciałbym Cię zapytać o Twoje zdanie na temat możliwości wykształcenia wydawcy naukowego. Czy jest to możliwe?

### Janusz Gruchała

Mieliśmy kiedyś dwadzieścia miejsc na edytorstwie. Uważam to za szczęśliwy czas, bo przychodzili ludzie, którzy chcieli. Ale jeżeli mamy dzisiaj przyjąć czterdziestu pięciu, to wśród nich (jeżeli zgłosi się czterdziestu pięciu, bo przecież nie zawsze tak bywa) takich, których przyciąga edytorstwo naukowe i którzy są skłonni temu czarowi ulec, jest niewielu. Jestem przekonany, że można wykształcić edytora naukowego, tyle że nie na jakiejś podrzędnej uczelni, bo edytorstwo jest już wszędzie. To bywają nawet studia na jakiejś uczelni, powiedzmy, technicznej w Radomiu. Ale jeżeli tam się ogłasza studia podyplomowe, na których jest dwadzieścia godzin adiustacji tekstu, dwadzieścia godzin komputerowego składu i właściwie edytorstwa naukowego nie ma – to się pojmuję edytorstwo jako pewną umiejętność techniczną. Ktoś skończył zarządzanie kulturą, idzie na studia podyplomowe, odbywa tam dziesięć zjazdów po osiem czy dziesięć godzin, w sumie sto pięćdziesiąt godzin, i staje się edytorem? Nie jest nawet dobrze przygotowanym redaktorem. Natomiast myśmy sobie wymyślili, że na drugim stopniu główny nacisk położymy na edytorstwo naukowe. No i powiem, że niestety (to jest moje gorzkie doświadczenie na koniec pracy w uniwersytecie, bo już za parę lat przyjdzie mi odejść) wielkiego natłoku nie ma. Na co studenci idą? Na projektowanie publikacji. Mamy też inną ścieżkę specjalizacyjną: współczesne wydawnictwo.

**Uważam,  
że umiarkowana  
transkrypcja  
jest potrzebna**

Oni się tam uczą, jak prowadzić marketing, jak obliczać ceny, jak się robi kosztorysy. Edytorstwo elektroniczne, wbrew naszym spodziewaniom, nie cieszy się takim wielkim powodzeniem, bo tam trzeba znać programy komputerowe, a nie jest z tym tak dobrze, jak by się wydawało. Edytorstwo naukowe natomiast cieszy się bardzo umiarkowanym powodzeniem. Właśnie wczoraj [4 marca 2022 roku] zlikwidowaliśmy tak nazwaną ścieżkę specjalizacyjną na pierwszym roku, bo zostały dwie osoby. Do tego, by dwie osoby tworzyły grupę, nie może dopuścić żaden dziekan. Zgoda, uważam jednak, że to powinno przebiegać zupełnie innym torem: powinno być kształceniem przy mistrzu, to znaczy indywidualnym. Jest oczywiste, że nie stać na to znakomitej wielkości uczelni, ale ciągle mówię, że należy w Polsce sprawić, by dwa, trzy uniwersytety miały naprawdę prawo kształcić *face to face*. To znaczy ja mogę zapewnić, że zrobię wszystko, by wykształcić edytora naukowego, jeśli będę miał z nim na przykład dwie godziny w tygodniu na indywidualne spotkanie. Tak się kształci w Anglii. *Office hours* profesora w Oxfordzie to są *office hours* dla dyplomanta. Ja jestem w stanie siedzieć tutaj nawet osiem godzin dziennie i mieć zajęcia z jednym studentem, po kolei, a nie seminarium z dziesięcioma, bo takie seminarium to raczej zwykłe zajęcia dydaktyczne, które z trudem można traktować jak indywidualne spotkanie. I ja na takim dziesięcioosobowym seminarium nie mogę gwarantować, że oni z sukcesem skończą studia i napiszą dobrą pracę. Można więc według mnie ukształtować edytora naukowego, ale nie w tym trybie, że będziemy kształcić całe grupy, że wyjdzie w każdym roku piętnastu naukowych edytorów, bo tyłu przecież nie trzeba. Po co? Moglibyśmy im zrobić krzywdę: wykształcimy ich, a oni nie będą potem mieli zajęcia.

### Dariusz Pachocki

Skoro już mówimy o modelu kształcenia. Sytuacja pandemiczna spowodowała, że uniwersytety musiały szybko dostosować się do działania na odległość i to jest minus. Jednak jest też druga strona medalu. Komunikacja elektroniczna pozwoliła zaistnieć takim pomysłom jak na przykład Kuźnia edytorska, która cieszy się bardzo dużą popularnością. Czy masz w głowie pomysły podobne do tego?

### Janusz Gruchała

W zeszłym roku cztery studentki, które ostały się na specjalności edytorstwo naukowe, miały kurs, który się nazywa Pracownia edytora. Cztery z tych zajęć ćwiczeniowych to były spotkania w internecie z profesorami Radosławem Grześkowiakiem, Tomaszem Chachulskim, Józefem Fertem i Dariuszem Pachockim. Niezła reprezentacja edytorów polskich, prawda? W każdym razie miały spotkanie z prawdziwymi edytorami, z prawdziwymi, a nie wydumanymi. Natomiast wspomniana przez was Kuźnia edytorska wynikała z pewnej konieczności. Mamy mianowicie w naszym programie kurs zwany Ćwiczenia terenowe, obowiązkowy dla pierwszego roku. Zwykle braliśmy do autobusu całą grupę i wieźliśmy w miejsce, gdzie studenci mogli zobaczyć ciekawe rzeczy związane z książką i wydawaniem publikacji, na przykład do Łodzi, do Muzeum Książki, albo do Wrocławia i po drodze do Dusznik. Były to wycieczki jedno- lub dwudniowe. Tego przez dwa lata nie mogliśmy zrobić z powodu covidu, wymyśliliśmy więc Kuźnię edytorską. Jest to cykl spotkań w internecie; teraz to powtarzamy dla obecnego pierwszego roku. Okazało się jednak już przed rokiem, że to jest interesujące również dla studentów z KUL-u, Uniwersytetu Warszawskiego i Wrocławskiego, bo tam jest

edytorstwo, powiedziałbym, trochę bardziej polonistyczne. W tym roku odbyliśmy już jedno spotkanie z panią Sonią Dragą. Na tych internetowych spotkaniach bywało ponad stu pięćdziesięciu uczestników, regularnie natomiast ponad dziewięćdziesięciu. Sukces Kuźni edytorskiej skłania do uogólnienia: wydaje się, że covid zabił pewne rzeczy (dla edytorów przede wszystkim możliwość oglądania przekazów w oryginale), ale jeżeli chodzi o możliwość spotkania, to nie tylko nie widzę szkody, lecz skłonny byłbym uznać covid za dobrą inspirację.

### Wojciech Kruszewski

To może ode mnie ostatnie pytanie już. Czy widzisz jakieś nieedytorskie korzyści z uprawiania edytorstwa? Czego się można nauczyć, pracując w edytorstwie, a co nie ma jakichś bezpośrednich edytorskich konsekwencji?

### Janusz Gruchała

Jeżeli czegoś edytorstwo uczy poza umiejętnościami takimi jak praca ze źródłem, to pewnej staranności, szacunku dla przekazów. Wszystko można powiedzieć o pracach edytora, o jego wolności, można nawet mówić, że on ma prawo dekonstruować tekst, ale jednego uczy się on na pewno: że trzeba usiąść nad źródłem. I to może być pożyteczne również w innych pracach. Kierowałem uczelnią, której nadaliśmy imię Stanisława Pigonia. To był niezły edytor, nasz krakowski profesor w końcu. On był z chłopów i podobno zawsze studentom przekazywał, że tu wymagana jest praca. Dodawał do tego ideologię: chłop pracuje i uważa to za stan naturalny. To jest niewątpliwie nauka, którą ja też wyciągnąłem, jeśli mogę o sobie mówić, ale chciałbym również uczyć tego studentów. Oni oczywiście wiedzą, że pracy edytorskiej nie da się zrobić, siedząc w kawiarni i dywagując na tematy ogólnokulturowe. I mam nadzieję, że się do tego przekonują. Może nie wszyscy, co widać gołym okiem, bo niewątpliwie mam bogaty cmentarz nieukończonych magisteriów i doktoratów. Nie wiem, czy mam gorszą wydajność niż inni koledzy, którzy mają seminaria magisterskie. To ciąży oczywiście na moim sumieniu: pewnie byłem dla nich zbyt trudnym promotorem. Ale pocieszam się, że być może innych udało mi się nauczyć tego, że trzeba i warto pracować. Mam nadzieję, że to jest taka wartość, która wynika z profesji edytora. Powiem teraz coś, co możecie wykasować, że od roku „tracę czas” (przepraszam, to w cudzysłowie oczywiście) na pracę nad *Arateami* Kochanowskiego. To jest dzieło, które on opracował po polsku i po łacinie; łacińskie wydał drukiem, polskie zostawił w papierach. To są parafrazy dzieła greckiego epika Aratosa z Soloj. W ramach edycji *Dzieł wszystkich* Kochanowskiego wspólnie z profesorem Jerzym Axerem pracujemy nad komentarzem. Zupełnie nieopłacalna rzecz, zjada czas. Ja w 2021 roku, jak mi wykazano, nie opublikowałem niczego. Wstyd mi bardzo, ale uważam, że to, co zrobimy, co już wreszcie kończymy, to będzie poważny komentarz. Do tej pracy trzeba znać grekę, łacinę i polszczyznę szesnastowieczną. Jestem przekonany, że warto było, bo jak wiecie, skończyłem też filologię klasyczną: przypomniałem sobie teraz grekę, łaciny zawsze używałem. I mam wrażenie, że już pod koniec moich uniwersyteckich lat robię coś sensownego, że to zostanie. I na to pytanie Twoje, Wojtku, odpowiem: tak, uczy to pewnego szacunku dla pracy, niewątpliwie. Studentów, mam nadzieję, też.

Jeżeli czegoś edytorstwo uczy poza umiejętnościami takimi jak praca ze źródłem, to pewnej staranności, szacunku dla przekazów

## Dariusz Pachocki

Jeszcze jedno. Czym byś się zajmował, gdyby nie edytorstwo? Czy był jakiś pomysł na życie, który nie został zrealizowany?

## Janusz Gruchała

Myślałem, że będę dziennikarzem. I planowałem swoje życie: że przyjdę do Krakowa i zdobędę konieczne umiejętności; wtedy nie było oddzielnych studiów dziennikarskich, a dziennikarze się kształcili na polonistyce lub naukach politycznych. Była nawet u nas taka specjalność. Po pierwszym roku mieliśmy okazję wybrać indywidualny tok kształcenia i ja wahałem się między staropolszczyzną a dziennikarstwem. Wybrałem to pierwsze. Myślę, że to nie był zły wybór, bo dziennikarstwo wówczas było ślepą uliczką, to było dziennikarstwo skolonizowane. Ja sobie wtedy jeszcze tego nie uświadamiałem dokładnie. Myślałem, że można być uczciwym dziennikarzem w PRL-u, a to było wtedy po prostu niemożliwe. To było jeszcze przed wybuchem drugiego obiegu w połowie lat siedemdziesiątych. Wtedy dziennikarzem nie można było być w sposób uczciwy i Pan Bóg mnie ustrzegł przed tym wyborem.

## Dariusz Pachocki

Amen.

## Janusz Gruchała

Amen.



Janusz Gruchała – prof. dr hab., pracownik naukowy Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik Katedry Edytorstwa i Nauk Pomocniczych oraz Pracowni Archiwum Oficyny Poetów i Malarzy. Edytor naukowy tekstów staropolskich, m.in. Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, Wacława Potockiego, Abrahama Roźniatowskiego, Adama Jacka Pisarzowskiego, Jakuba Lubelczyka. Wydał m.in. *Kazania pasyjne* w serii „Kazania w Kulturze Polskiej”. Autor książek *„Iucunda familia librorum”*. *Humanisci renesansowi w świecie książek* (2002) i *„Psalmy, hymny, pieśni pełne ducha”*. *Studia o staropolskich tekstach religijnych* (2013). Jego zainteresowania naukowe obejmują literaturę polską czasów

renesansu i baroku, historię książki, ze szczególnym uwzględnieniem XV–XVII wieku, piśmiennictwo religijne XVI–XVII wieku (kaznodziejstwo, teksty użytkowe, tłumaczenia biblijne). Kilkukrotny stypendysta Warburg Institute w Londynie, Herzog August Bibliothek w Wolfenbüttel oraz uniwersytetów w Bochum, Padwie, Wiedniu, Piliscaba i Bradze.